

Stado – 13 – Epilog

20 listopada 2010

„To ja czuвам, aby natura zrodziła to, co pełne ruchu i co nieruchome. Z tej to właśnie przyczyny, o synu Kunti, świat kręci się w koło.”

Bhagawadgita IX – 10

Adam Roztocki, trzydziestopięcioletni, postawny mężczyzna o jasno blond włosach, opadających mu obficie aż na ramiona, siedział przy jednym z kilku małych stolików, wystawionych w upalny dzień przed cichą kawiarenką „Vigo”, przy Rue Saint – Cloud, funkcjonującą na parterze kilkupokojowego hoteliku w którym mieszkał od trzech lat. Właściciel, jedyny syn polskiego emigranta politycznego sprzed dwudziestu pięciu lat, tolerował jeszcze jakoś nieterminowe raty za wynajęty pokój.

Prawdę mówiąc, Adam był u niego zadłużony na taką górę franków, że nie wyobrażał sobie jakiegokolwiek szansy spłaty. Dorywcze prace, jakich się imał od początku swojej spektakularnej ucieczki z ponownie opanowanego upokarzającym każdą myślącą jednostkę czerwonym trądem kraju, ledwie pozwalały na kupno najprostszego pożywienia. Mimo kosztem wielu, zupełnie bzdurnie wyglądających z tej zachodniej perspektywy wyrzeczeń, zdobycia w Polsce tytułu doktora fizyki i stanowiska absurdalnie nisko opłacanego podręcznego, czy też pomywacza w pracowni ustosunkowanego profesora, nie mógł jak dotąd znaleźć tutaj pracy, choćby w przybliżeniu wymagającej posiadanych przez niego kwalifikacji. Ale już się z tym pogodził. Wolał to niż życie w ciągłej, zakłamanej paranoi, w tej codziennej, bezsensownej pogoni za zwykłą bułką, żarówką, butami, kawałkiem kiełbasy, czymkolwiek. Również za przychylnym spojrzeniem swojego pana i władcy, za byle idiotycznym zezwoleniem urzędowym na wyjazd, wejście, przejście, wpłatę, kupno, wszystko.

Kraj został totalnie zbiurokratyzowany i aż dziw, że jak dotąd

nie żądano pisemnej, uprawomocnionej stosownymi zaświadczeniami zgody na każdy, wykonywany w tej ciężkiej atmosferze oddech. Oddech, który mógł być ostatnim na względnie świeżym powietrzu, gdyż wykonany nieprawidłowo, nie tak, jak określają to beznadziejnie skomplikowane, rozbudowane i skrajnie niejasne przepisy na wszystko, groził spędzeniem reszty żywota w ciemnych kazamatach więziennych lub na dalekiej Syberii. Co drugi współrodak był donosicielem, a każdy zasrany urzędas, jeżeli robił jeszcze jakikolwiek użytek z jakiegokolwiek części swojego ciała, to wyłącznie z oślizłej łapy, wyciąganej nieodmiennie po gotówkę. Ale to już raczej historyczna, genetyczna cecha tej padalczej nacji.

Patrzył więc sobie na spokojny, życzliwy, kolorowy, choć jeszcze obcy tłum snujących się po czystych ulicach ludzi. Cekał na nieznanego autora krótkiego listu jaki otrzymał dwa dni temu.

„Szanowny Panie.

Z uwagi na wyjątkowo korzystną sytuację, w jakiej się pan niebawem znajdzie, bardzo proszę o spotkanie -, dajmy na to o piętnastej, w kawiarence Pańskiego hoteliku. Poznam pana bez problemu.

Z poważaniem:

Pierre Boyle, notariusz”

Nie znał nikogo o tym nazwisku, a tym bardziej notariusza. Adam nie miał rodziny. Rodzice, około dwutysięcznego dwudziestego, zostali wywiezieni przez historycznie niezmiennych okupantów na daleki Sybir, za jakieś tam ulotki i zebrania prawicowe. Wychował się więc w ogromnym, państwowym domu dziecka, gdzie jedyne co miał na własność to narastająca, skrzętnie skrywana nadzieja na ucieczkę z tej paranoi. Powtarzającej się zresztą od lat z precyzją szwajcarskiego zegarka. Taki wesoły kraj.

– Dzień dobry panu – usłyszał wysoki, niewątpliwie jednak

męski głos.

Stał przed nim elegancki, starszy, szpakowaty jegomość, trzymający nieśmiało przed sobą jeden z tych modnych ostatnio, oprawnych w delikatną, cielącą skórę, komputerów przenośnych, istnych, miniaturowych biur.

– Jestem Pierre Boyle, notariusz. Czy można usiąść?

– Proszę bardzo – odparł Adam i podsunął mu krzesło.

Starszy pan usiadł, położył płaskie urządzenie na stoliku i otworzył cienki jak kartka pocztowa, monitor.

– Szanowny panie – mimo wysokości, głos miał łagodny i przyjemny. – Jestem notariuszem i prowadzę w Szwajcarii, w Lozannie, odziedziczoną po moim ojcu kancelarię notarialną. Zajmują nas głównie sprawy spadkowe, rejestry wierzytelności handlowych, przemysłowych i inne. Paramy się także zleceniami nietypowymi, aktami własności, dziedziczeniem i tym podobnymi. Zaraz dokładnie wyjaśnię o co chodzi, tylko pozwoli pan, zamówię coś do picia.

Pstryknął delikatnie na kelnera i po chwili na stoliku stały dwie szklanki chłodzonego soku pomarańczowego i dwie lampki czerwonego Bordeaux.

– A zatem nazywa się pan Adam Roztocki, syn Kazimierza i Joanny Roztockich, zesłanych za nieprawomyślność polityczną na dożywotnie... leczenie w chłodnym klimacie, zgadza się? – spytał Boyle, stukając cichutko w klawiaturę i patrząc na monitor.

– Owszem.

– Wychowany w państwowym domu dziecka nr 2489 w Radomiu, doktor fizyki, były zastępca towarzysza profesora, e... mniejsza z tym. Zgadza się?

– W zupełności.

– Z czego pan się doktoryzował?

– Pisałem pracę na temat spontanicznych przemian fazowych w środowisku zjonizowanym, przy zastosowaniu statystyki zjawisk tunelowych.

– W porządku – tym razem potwierdził Boyle. – Następnie publikował pan w kraju, a gdy kolejny raz władze odmówiły panu kontaktów z naszymi naukowcami, przy byle okazji... dał pan nogę?

– Tak.

– Jak pan uciekł?

– Cóż, załapałem się na półroczną realizację badawczego programu rządowego na Grenlandii i którejś nocy, wyposażony tylko w nóż, rakietnicę i mizerne zapasy, opuściłem po cichu uśpioną, a raczej uchlaną na umór, placówkę. Wędrowałem piechotą przez zamrożone o tej porze roku Morze Bafina, aż zupełnie wyczerpany, dotarłem wreszcie po dwóch tygodniach do kanadyjskiej bazy wojskowej pod Pond Inlet. Tam otrzymałem pomoc, następnie kanadyjski azyl polityczny i po mało interesujących perypetiach, znalazłem się w Europie, we Francji.

– Teraz siedzi pan w tym hoteliku i zatrudnia się byle gdzie za psie pieniądze.

– Cóż...

– No, ale z tym już koniec. Widzi pan, układ jest taki. Pięćdziesiąt lat temu, gdy żył jeszcze mój ojciec, firma przyjęła pewne zlecenie. Dwóch starszych naukowców amerykańskich zjawiło się u nas z pokaźną teczką różnych dokumentów. Zlecenie polegało na tym, że oni deponują u nas zestaw haseł i numerów skrytek oraz kont bankowych trzech solidnych banków szwajcarskich gdzie przechowują wyniki swoich prac, osiągnięć naukowych, rozwiązań technicznych i

technologicznych oraz pokaźne kwoty pieniędzy. Depozyt ów ma czekać na likwidację przez dowolnego z obu panów, a jeśli nie, to po pięćdziesięciu latach, uruchamiamy postępowanie wykonawcze, ściśle określone w zleceniu. Właśnie minęło pięćdziesiąt lat, i żaden z obu depozytariuszy nie wstrzymał jak dotąd dalszego biegu sprawy. Najprawdopodobniej już dawno nie żyją.

W tej sytuacji przystąpiliśmy do realizacji następnego punktu zlecenia. Nakazywał on odnalezienie wśród całej ogromnej rzeszy naukowców świata, według ściśle określonych reguł, dwóch ludzi, spełniających owe ostre, selekcyjne warunki. Mieliśmy z tym trochę pracy, co rzecz jasna poświadczamy stosownymi rachunkami. Jednym z tych ludzi jest pan.

– Tak? A drugim?

– Pozna go pan niebawem. To Australijczyk, znany automatyk.

– Jak się nazywają... nazywali, ci zleceniodawcy?

– Momencik – notariusz postukał w klawiaturę urządzonego i to wypłuło po chwili kartkę papieru z wypisanymi pięknie dwoma nazwiskami: „Harvey Garry Ronson & Sid Caster – uratować świat”.

Podał karteczkę Adamowi.

– Nic mi to nie mówi. – pokręcił Adam głową.

– Nie dziwię się. Nikomu nic to nie mówi.

Siedzieli chwilę w milczeniu. Po ulicy przemykały cicho kolorowe samochody.

– I co dalej?

– Teraz poproszę pana o podanie kilku danych fizycznych i rozwiązanie dwóch testów matematycznych.

Po półgodzinnej, wspólnej sesji z przemyślną maszynką,

usatysfakcjonowany Boyle wpisał do niej ostatnie dane i ta ponownie wypłuła kartkę papieru z przedziwnym tekstem:

„Proszę natychmiast zażądać od notariusza małego pudełeczka, które jest specjalnego rodzaju urządzeniem nadawczo-odbiorczym, umożliwiającym łączność międzyczasową. Po przełamaniu kodu blokady, proszę je uruchomić. Życzymy powodzenia.

R & C”

Dalej następowały długie szeregi liczb, oraz zaszyfrowane numery kont bankowych.

– Ma pan coś dla mnie? – zapytał Adam.

– Ach tak, rzeczywiście – uśmiechnął się elegancki szwajcar i podał mu maleńki niby kalkulator o archaicznej konstrukcji. Podał mu też do podpisu kilka dokumentów i po chwili, zadowolony z wykonania zadania, wyłączył i zamknął swoje przenośne biuro.

– No cóż, panie Roztocku. Od tego momentu, a ściślej, po skontaktowaniu się i porozumieniu z pańskim australijskim kolegą, jest pan współwłaścicielem ogromnej fortuny, którą szacujemy na czterdzieści milionów dolarów, z odsetkami, rzecz jasna. Także Bóg wie jakich rewelacji naukowych, które pewnie też są co nieco warte. Chociaż tak naprawdę, to moim zdaniem warte zachodu są jedynie duże pieniądze. Mam nadzieję, że jest pan usatysfakcjonowany jakością pracy mojego biura i... polecam się na przyszłość.

– Naturalnie – mruknął oszołomiony tym wszystkim Adam i jednym haustem, zupełnie nieelegancko, wypił nienaruszoną dotąd lampkę wina.

KONIEC

Być może ciąg dalszy kiedyś nastąpi

Autor: golesz (golesz@wp.pl)

Cytaty z „Bhagawadgita czyli Pieśń Pana” w tłumaczeniu Joanny Sachse

Nadesłano do „Wolnych Mediów”